

# LEKCJE CHEMII

**BONNIE GARMUS**

**PRZEŁOŻYŁ  
MAREK CIEŚLIK**

**MARGINESY**

*Lessons in Chemistry*

COPYRIGHT © 2022 BY Bonnie Garmus

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY Marek Cieřlik

COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY

Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2022

Mojej matce, Mary Swallow Garmus

# 1

Listopad 1961

Dawno temu, w roku 1961, kiedy kobiety chodziły w szmizjerkach, zapisywały się do klubów ogrodniczych i bez skrępułów woziły całe rzesze dzieci samochodami bez pasów bezpieczeństwa; na długo przed tym, zanim komukolwiek przyszłoby do głowy, że zanoszą się na jakiś „ruch lat sześćdziesiątych”, a tym bardziej że jego uczestnicy i uczestniczki spędzą kolejne sześćdziesiąt lat na spisywaniu jego kronik; kiedy wojny światowe przeszły do historii, wojny tajnych służb dopiero się rozpoczęły, a ludzie zaczęli myśleć po nowemu i wierzyć, że wszystko jest możliwe, trzydziestoletnia matka Madeline Zott co dzień rano budziła się tuż przed świtem pewna jednego: jej życie dobiegło końca.

Mimo to udawała się do laboratorium, żeby spakować swojej córce drugie śniadanie.

„Paliwo dla nauki” – wypisała Elizabeth Zott na karteczce, którą wsunęła córeczce do pudełka śniadaniowego. Potem zawahała się z uniesionym w powietrzu ołówkiem, jakby zmieniała zdanie. „Na przerwie poprowadź sport, ale pamiętaj, że chłopcy wcale nie muszą wygrywać” – wypisała na kolejnej karteczce. Znowu się zastanowiła, stukając ołówkiem w blat stołu. „Ani trochę ci się nie wydaje – napisała na trzeciej karteczce. – Większość ludzi faktycznie jest paskudna”. Drugą i trzecią karteczkę umieściła na pierwszej.

Małe dzieci na ogół nie umieją czytać, a jeśli już, to znają zwykle słowa typu „kot” czy „mama”. Madeline jednak czytała,

odkąd skończyła trzy lata, i teraz, w wieku lat pięciu, miała już za sobą lekturę większości dzieł Dickensa.

Madeline była takim właśnie dzieckiem – takim, które umie zanucić koncert Bacha, ale nie potrafi zawiązać sobie sznurówek; potrafi objaśnić ruch obrotowy Ziemi, ale zawiesza się przy grze w kółko i krzyżyk. I w tym tkwił problem. Bo chociaż nad cudownymi dziećmi obdarzonymi talentem muzycznym wszyscy się rozpyłwiają, to tymi, które szybko nauczyły się czytać, nikt się nie zachwyca. A to dlatego, że są dobre wyłącznie w tym, w czym ostatecznie będą też dobre wszystkie pozostałe. To, że są w tym szybsze, w ich przypadku nie jest więc niczym wyjątkowym – tylko irytującym.

Madeline zdawała sobie z tego sprawę. Dlatego też starała się co dzień rano – po wyjściu mamy z domu, kiedy mieszkająca po sąsiedzku opiekunka imieniem Harriet była czymś zajęta – wydobycić liściki z pojemnika z drugim śniadaniem, czytać je i odkładać do pozostałych liścików, które przechowywała w pudełku po butach w głębi swojej szafki. W szkole udawała, że nie różni się od innych dzieci: że jest praktycznie analfaberką. Zdaniem Madeline przystawanie do otoczenia było najważniejsze na świecie. Miała na to niepodważalny dowód: jej matka zawsze odstawała od innych i prosiła bardzo, do czego ją to doprowadziło.

Tam właśnie, w południowokalifornijskim miasteczku Commons, gdzie klimat był przeważnie ciepły, ale nie nadmiernie, niebo przeważnie błękitne, choć nie za bardzo, a powietrze czyste, bo wtedy powietrze po prostu takie było, Madeline leżała w swoim łóżeczku i czekała z zamkniętymi oczami. Wiedziała, że wkrótce poczuje delikatny pocałunek w czoło, staranne otulenie kołderką, ciepło oddechu szepczącego „Wykorzystaj ten dzień”. Minutę później usłyszy rozruch silnika samochodu, chrzęst opon plymoutha wycofywanego z podjazdu, donośny odgłos towarzyszący mozolnemu przerzuceniu biegu ze wstecznego na jedynkę. A potem jej

wiecznie przygnębiona matka wyruszy do studia telewizyjnego, w którym założy kuchenny fartuch i wyjdzie na scenę.

Program nazywał się *Kolacja o szóstej*, a Elizabeth Zott była jego niekwestionowaną gwiazdą.

## 2

### Pine

Elizabeth Zott, dawniej chemiczka doświadczalna, była kobietą o nieskazitelnej cerze i charakterystycznej aurze osoby nieprzeciętnej, której przeciętność absolutnie nie grozi.

Została, jak wszystkie porządne gwiazdy, odkryta. Co prawda nie siedziała wtedy w barze z shake'ami ani na przypadkowej ławce, nie została przedstawiona komu trzeba. Do tego odkrycia doprowadziła kradzież – a konkretnie kradzież jedzenia.

Historia była prosta: pewna dziewczynka, Amanda Pine, przepadająca za jedzeniem w stopniu uznawanym przez niektórych terapeutów za niebagatelny, zjadała drugie śniadania Madeline. Działo się tak, ponieważ również one wyrastały ponad przeciętność. Kiedy inne dzieci przeżuwały swoje kanapki z masłem orzechowym i dżemem, Madeline otwierała pudełko z drugim śniadaniem i znajdowała w nim solidny kawałek lazanii z kolacji, do tego porcję duszonej cukinii, rozkrojone w ćwiartki egzotyczne kiwi, pięć idealnych pomidorków, małą solniczkę marki Morton, dwa jeszcze ciepłe ciasteczka z kawałkami czekolady i czerwony kraciasty termos pełen schłodzonego mleka.

Właśnie dlatego wszyscy pożąдали drugiego śniadania Madeline, łącznie z nią samą. Mimo to Madeline częstowała nim Amandę, ponieważ przyjaźń wymaga poświęceń, ale także dlatego, że Amanda jako jedyna osoba w całej szkole nie stroiła sobie żartów z dziwnej dziewczynki, która miała już świadomość swojej odmienności.

Dopiero spostrzegłszy, że ubrania Madeline zaczynają zwisać na jej wychudzonym ciele jak źle dopasowane zasłony, Elizabeth zaczęła się zastanawiać, co się dzieje. Według jej wyliczeń dziewczynka przyjmowała codziennie tyle pokarmów, ile potrzebowała do optymalnego rozwoju, co z naukowego punktu widzenia wykluczało utratę masy ciała. Może to nagły skok wzrostu? Nie. W swoich wyliczeniach wzięła to pod uwagę. Wczesne zaburzenie odżywiania? Raczej nie. Przy obiedzie Madeline jadła za trzech. Białaczka? Zdecydowanie nie. Elizabeth nie była typem panikary, która nocą, zamiast spać, leży i wyobraża sobie, że jej córkę dręczy nieuleczalna choroba. Jako naukowiec zawsze szukała jakiegoś sensownego wytłumaczenia, a w chwili, gdy ujrzała ubrudzoną sosem pomidorowym buzię Amandy Pine, zrozumiała, że właśnie je znalazła.

- Panie Pine - zaczęła Elizabeth, wkroczywszy w środowe popołudnie do studia lokalnej telewizji i minąwszy sekretarkę. - Dzwonię do pana od trzech dni i ani razu nie raczył pan oddzwonić. Nazywam się Elizabeth Zott. Jestem matką Madeline Zott, nasze dzieci uczęszczają razem do Szkoły Podstawowej Woody'ego i przybyłam poinformować pana, że pańska córka proponuje mojej przyjaźń, uciekając się do podstępu. - A ponieważ jej rozmówca wyglądał na zdeorientowanego, dodała: - Pańska córka objada moją z drugich śniadań.

- D-drugich śniadań? - wykrztusił z trudem Walter Pine, ogarniając wzrokiem stojącą przed nim kobietę o olśniewającym wyglądem; jej biały fartuch laboratoryjny emanował niemal świętą jasnością, którą burzył tylko jeden szczegół: zdobiące ubiór czerwone inicjały „E.Z.” wyszyte nad kieszonką.

- Pańska córka, Amanda - ponownie natarła Elizabeth - zjada drugie śniadania mojej córki. Najpewniej już od kilku miesięcy.

Walter mógł się tylko w nią wpatrywać. Wysoka i koścista, z włosami koloru spieczonych maślanych tostów ściągniętymi za głowę w węzeł spięty ołówkiem, stała przed nim wsparta pod boki,



z wyzywająco czerwonymi wargami, rozświetloną skórą, prostym nosem. Spoglądała na niego z góry jak sanitariusz na polu bitwy oceniający, czy warto go ratować.

- A już absolutnie naganne - ciągnęła - jest to, że wyłudza od Madeline śniadania, udając jej przyjaciółkę.

- K-kim pani jest, bo nie dosłyszałem? - wyjąkał Walter.

- Elizabeth Zott! - krzyknęła. - Matka Madeline Zott!

Walter kiwnął głową, starając się pojąć sytuację. Jako doświadczony producent popołudniowych audycji telewizyjnych znał się na aktorstwie. Ale to? Cały czas się na nią gapił. Była oszałamiająca. Tak, był nią dosłownie oszołomiony. Czy przyszła tu na jakiś casting?

- Przykro mi - wydusił w końcu - ale wszystkie role pielęgniarek mamy już obsadzone.

- Co proszę? - burknęła.

Nastąpiła dłuższa pauza.

- Amanda Pine - powtórzyła kobieta.

Walter zamrugał gwałtownie.

- Moja córka? Oj... - W jego głosie zabrzmiał nagły lęk. - Coś z nią nie tak? Jest pani lekarką? Ze szkoły? - Poderwał się na równe nogi.

- Wielki Boże, nie - odparła Elizabeth. - Jestem chemikiem. Przyjechałam tu aż z Hastings w czasie godzinnej przerwy obiadowej, bo nie reaguje pan na moje telefony. - A widząc, że mężczyzna wciąż jest skonsternowany, wyjaśniła: - Instytut Badawczy Hastings? W którym „przełomowymi odkryciami otwieramy nowe horyzonty”? - Westchnieniem skwitowała bezmyślność sloganu. - Chodzi mi o to, że wkładam sporo wysiłku w przygotowywanie dla Madeline pożywnego drugiego śniadania. Niewątpliwie i pan stara się podobnie zaspokajając potrzeby własnego dziecka. - A kiedy mężczyzna nie przestawał wpatrywać się w nią w osłupieniu, dodała: - Bo dba pan o rozwój fizyczno-poznawczy Amandy. Bo wie pan dobrze, że rozwój ten jest uzależniony

od dostarczania organizmowi zrównoważonego zestawu witamin i minerałów.

- Sęk w tym, że pani Pine...

- Tak, wiem. Zaginęła w akcji. Próbowaliśmy skontaktować się z nią, ale powiedziano mi, że mieszka w Nowym Jorku.

- Jesteśmy po rozwodzie.

- Przykro mi słyszeć, ale rozwód niewiele ma wspólnego z drugim śniadaniem.

- Na pozór, jednak...

- Mężczyzna, panie Pine, może przygotowywać drugie śniadanie. Z punktu widzenia biologii nie leży to poza zasięgiem jego umiejętności.

- Oczywiście - zgodził się Walter, szarpiąc się z krzesłem. - Proszę, pani Zott, zechce pani usiąść.

- Mam coś w cyklotronie - odparła z irytacją, spoglądając na zegarek. - Rozumiemy się czy nie?

- W cyklo...

- W akceleratorze cząstek elementarnych.

Elizabeth obrzuciła wzrokiem ściany. Zapełniały je oprawione w ramki plakaty reklamujące melodramatyczne opery mydlane i efekciarskie teleturnieje.

- Mój dorobek - powiedział Walter, nagle zażenowany prostactwem plakatów. - Może coś z tego pani widziała?

Kobieta ponownie obróciła się ku niemu.

- Proszę pana - odezwała się tonem bardziej pojednawczym - przykro mi, że nie mam czasu ani możliwości przygotowywać drugich śniadań pańskiej córce. Oboje wiemy, że jedzenie to katalizator, który odblokowuje nasze mózgi, wiąże nasze rodziny i wyznacza naszą przyszłość. A jednak... - Urwała, mrużąc oczy na widok plakatu jakiejś opery mydlanej, na którym pielęgniarka w dość niezwykły sposób roztaczała opiekę nad pacjentem. - Czy ktoś w ogóle ma czas, żeby uczyć cały naród przygotowywania jedzenia, które rzeczywiście odżywia? Żałuję, ale ja tego czasu nie mam. A pan go ma?

Kiedy odwróciła się do wyjścia, Pine, nie chcąc dać jej uciec ani nie do końca wiedząc jeszcze, co sam za chwilę wymyśli, rzucił szybko:

– Zaraz, proszę, niech pani poczeka... proszę. Co... co pani przed chwilą powiedziała? O uczeniu całego narodu przygotowywania jedzenia, które... które rzeczywiście odżywia?

*Kolacja o szóstej* miała premierę miesiąc później. I choć pomysł nie całkiem przypadł Elizabeth do gustu – była w końcu chemiczką doświadczalną – podjęła się zajęcia z tych samych powodów co zwykle: było lepiej płatne, a ona miała dziecko na utrzymaniu.

Od pierwszego dnia, w którym Elizabeth założyła kuchenny fartuch i wyszła na plan, nie ulegało wątpliwości, że ma w sobie to coś – cechę trudną do określenia, ale decydującą o medialności. Jednocześnie była osobą konkretną, tak prostolinijną i rzeczową, że ludzie nie wiedzieli, co o niej sądzić. Podczas gdy w innych programach kulinarnych dobroduszni mistrzowie kuchni radośnie popijali sherry, Elizabeth Zott prowadziła swoją audycję z powagą. Nigdy się nie uśmiechała. Nigdy nie żartowała. A jej potrawy były równie rzetelne i praktyczne jak ona sama.

Po pół roku program Elizabeth nieprzerwanie zyskiwał coraz większą oglądalność. Po roku był prawdziwą instytucją. A nim minęły dwa lata, dowiódł swojej niesamowitej potęgi, nie tylko jednocząc rodziców z dziećmi, ale i obywateli z państwem. Nie będzie przesadą stwierdzenie, że kiedy Elizabeth Zott kończyła gotować, cała Ameryka zasiadała do stołów.

Jej program oglądał nawet wiceprezydent Lyndon Johnson.

– Chce pan wiedzieć, co sobie myślę? – powiedział raz, zbywając jakiegoś nieustępliwego reportera. – Myślę, że powinien pan mniej pisać, a więcej oglądać telewizji. Niech pan zacznie od *Kolacji o szóstej*. Ta Zott zna się na rzeczy.

Tak też było. U Elizabeth Zott próżno było szukać objaśnień, jak robić minikanapeczki z ogórkiem czy delikatne suflety. Jej

przepisy kulinarne były konkretne: duszone mięsa, zapiekanki, dania przyrządzane w wielkich metalowych garnkach. Pilnowała obecności produktów z wszystkich czterech grup żywieniowych. Wierzyła w solidne porcje. I twierdziła, że nie warto przyrządzać żadnej potrawy, której trzeba poświęcić więcej niż godzinę. Każdy swój program kończyła charakterystyczną odezwą:

- Dzieci, nakryjcie do stołu. Wasza matka potrzebuje teraz chwili dla siebie.

Ale potem jakiś ważny dziennikarz napisał artykuł pod tytułem *Dlaczego zjemy wszystko, co nam zaserwuje*, w którym mimochodem nazwał ją Lalunią Lizzie – i przezwisko to, jako że było zarówno poniekąd trafne, jak i zgrabne, przyłgnęło do niej niczym farba drukarska do gazety, w której je wydrukowano. Odtąd obcy ludzie wołali za nią Lalunia, ale Madeline mówiła do niej „mamo” i chociaż była jeszcze dzieckiem, rozumiała, że przezwisko deprecjonuje talent jej matki. Była chemikiem, a nie kucharką z telewizji. Elizabeth zaś, skrępowana w obecności swojego jedyne­go dziecka, czuła wtedy wstyd.

Czasami Elizabeth leżała nocą w łóżku i zachodziła w głowę, jakim cudem w jej życiu doszło do czegoś takiego. Nigdy jednak nie musiała zachodzić w głowę długo, bo odpowiedź znała doskonale.

Przez Calvina Evansa.

### 3

## Instytut Badawczy Hastings (dziesięć lat wcześniej, styczeń 1952)

Calvin Evans też był zatrudniony w Instytucie Badawczym Hastings, ale w przeciwieństwie do Elizabeth, w której laboratorium było wręcz tłoczno, dysponował wielką pracownią na swój wyłączny użytek.

Wziąwszy pod uwagę osiągnięcia, może i na nią zasługiwał. Nim skończył dziewiętnaście lat, miał na koncie decydujący wkład w badania, które pomogły słynnemu brytyjskiemu chemikowi Frederickowi Sangerowi sfinalizować walkę o Nagrodę Nobla; w wieku lat dwudziestu dwóch odkrył szybszą metodę syntezy prostych protein; gdy miał lat dwadzieścia cztery, dzięki swoim przełomowym opracowaniom dotyczącym reaktywności dibenzoselenofenu trafił na okładkę pisma „Chemistry Today”. Był ponadto autorem szesnastu artykułów naukowych, dziesięciokrotnie zapraszano go na międzynarodowe konferencje, a także proponowano mu stypendium naukowo-badawcze na Harvardzie. Dwukrotnie. On zaś odrzucił tę propozycję. Również dwukrotnie. Częściowo dlatego, że wiele lat wcześniej na Harvardzie nie przyjęto go na studia, a częściowo dlatego, że... no cóż, prawdę mówiąc, inny powód nie istniał. Calvin był geniuszem, ale gdy szło o wady, na pierwszym miejscu należałoby wymienić pamiętliwość: nigdy nie zapominał uraz.

Znany był nie tylko z pamiętliwości, ale i z niecierpliwości. Jak wielu geniuszy, Calvin po prostu nie mógł pojąć, dlaczego nikt

inny nie rozumie tego co on. Był też introwertykiem, co nie jest wadą sensu stricto, ale często przejawia się jako rodzaj rezerwy wobec innych. A co najgorsze – był wioślarem.

Jak wiadomo wszystkim niewioślarzom, wioślarze nie są fajni. Dlatego że nie chcą nigdy rozmawiać o niczym poza wiosłowaniem. Wystarczy, że w jednym miejscu spotka się ich chociaż dwóch, a rozmowa natychmiast schodzi ze zwykłych tematów typu praca czy pogoda i zamienia się w długie bezcelowe opowieści o łodziach, pęcherzach na rękach, wiosłach, chwytach, ergometrach, treningach, piórach wiosła, zanurzaniu wiosła, puszczeniu wiosła, uciekaniu wiosła, łapaniu raka, pozycjach, przyciągnięciach, pociągnięciach, podciągnięciach, wózkach, poślizgach, początkach, sprintach, wywrotkach i o tym, czy na wodzie było ostatnio naprawdę równo czy nie. Stąd zwykle dyskusja rozwija się w stronę tego, co nie wyszło podczas ostatniego wiosłowania, co może nie wyjść na następnym wiosłowaniu i czyja to była lub będzie wina. W którymś momencie wioślarze niechybnie wyciągają ręce i porównują odciski. Jeśli ma się prawdziwego pecha, może potem nastąpić kilka minut chyleńnięcia czoła z szacunkiem w reakcji na czyjeś wspomnienia o idealnym przypadku wiosłowania, kiedy wszystko szło jak z płatka.

Nie licząc chemii, wioślarstwo stanowiło jedyną prawdziwą namiętność Calvina. De facto to właśnie ono było powodem, dla którego przede wszystkim chciał pójść na Harvard: wiosłowanie dla tej uczelni w roku 1945 oznaczało wiosłowanie dla najlepszych. W zasadzie dla wicenajlepszych. Naprawdę najlepszy był Uniwersytet Stanu Waszyngton, ale ten mieścił się w Seattle, a Seattle słynęło z deszczu. Calvin nienawidził deszczu. Dlatego sięgnął wzrokiem dalej – ku Cambridge, temu w Anglii, obnażając tym samym jeden z mitów o naukowcach: to, że są dobrzy w zbieraniu informacji.

Pierwszego dnia, w którym Calvin wiosłował na rzece Cam, padało. Drugiego dnia też. Trzeciego dnia: to samo.

- Czy tutaj zawsze tak pada? - zapytał zrzędlawie Calvin, kiedy wraz z kolegami z osady dźwignął ciężką drewnianą łódź na ramiona i niemrawo ruszył nad wodę.

- Skądże znowu - zapewnili go. - W Cambridge aura jest zwykle ciepła i łagodna. - A potem spojrzeli po sobie porozumiewawczo, jakby dla potwierdzenia tego, co podejrzewali już od dawna: Amerykanie to idioci.

Niestety idiotyzm Calvina rozciągał się też na jego randkowanie - co stanowiło nie lada problem, bo Calvin bardzo pragnął się zakochać. W ciągu całych sześciu samotnych lat spędzonych w Cambridge zdołał umówić się z zaledwie pięcioma kobietami, z których tylko jedna zgodziła się spotkać z nim po raz drugi, a i to wyłącznie przez pomyłkę, bo odebrawszy telefon, wzięła go za kogoś innego. Jego głównym problemem był brak doświadczenia. Zachowywał się jak pies, który po latach prób w końcu dopada wiewiórkę i nie ma najmniejszego pojęcia, co z nią zrobić.

- Cześć, ee - mówił wśród łomotu serca, z wilgotnymi dłońmi i nagłą a niespodziewaną pustką w głowie, kiedy jego wybranka otwierała drzwi. - Debbie?

- Deirdre - odpowiadała dziewczyna z westchnieniem, spoglądając na zegarek po raz pierwszy, ale bynajmniej nie ostatni.

Przy kolacji rozmowa zataczała się jak pijaczyna między rozpadem wiązań w cząsteczkach kwasów aromatycznych (Calvin) a pytaniem o to, co właśnie grają w kinie (Deirdre), między syntezą niereaktywnych protein (Calvin) a tym, czy on lubi tańczyć (Deirdre), aż po no popatrz, jak późno, już po wpół do dziewiątej, a rano trzeba powiosłować, więc zaraz odprowadzi ją do domu (Calvin).

Nie trzeba dodawać, że po tego typu randkach seksu było bardzo mało. De facto zero.

- Nie do wiary, że masz z tym jakiś kłopot - mówili jego koledzy z osady w Cambridge. - Dziewczyny uwielbiają wioślarczy. - Nie

było to prawdą. – I jak na Amerykanina wcale nieźle wyglądasz. –  
Co również nie było prawdą.

Szkopuł tkwił po części w posturze Calvina. Miał metr dziewięćdziesiąt trzy wzrostu, był długi i chudy jak tyczka, ale garbił się z przechyłem w prawo – zapewne na skutek tego, że zawsze wioskował jako szlakowy. Jeszcze większy zaś problem miał z twarzą. Sprawiał przez nią wrażenie samotnika, jak dziecko, które musiało wychować się samopas, z wielkimi szarymi oczami, wiecznie rozczochranymi włosami jakby blond i fioletowawymi wargami, niemal zawsze spuchniętymi, bo miał tendencję je przygryzać. Była to twarz z gatunku, jaki niektórzy nazywają niewartym zapamiętania, o wyglądzie poniżej przeciętnej, w żaden sposób nie zdradzająca ukrytej tęsknoty ani inteligencji, jeśli nie liczyć jednej kluczowej cechy: zębów, prostych i białych, które w chwili uśmiechu ratowały ogólne wrażenie. Na swoje szczęście, zwłaszcza po zakochaniu się w Elizabeth Zott, Calvin uśmiechał się non stop.

Poznali się – czy raczej zamienili kilka zdań – któregoś wtorkowego poranka w Instytucie Badawczym Hastings, prywatnym laboratorium doświadczalnym mieszczącym się na słonecznym południu Kalifornii, gdzie Calvin, ukończywszy w rekordowym czasie doktorat na Cambridge i mogąc przebierać wśród czterdziestu trzech ofert zatrudnienia, przyjął posadę po części z powodu reputacji, ale przede wszystkim z powodu opadów atmosferycznych. W Commons rzadko padało. Elizabeth z kolei przyjęła ofertę pracy w Hastings, ponieważ była to jedyna propozycja, jaką otrzymała.

Stanąwszy przed drzwiami laboratorium Calvina Evansa, zobaczyła kilka dużych napisów ostrzegawczych:

*NIE WCHODZIĆ*  
*EKSPERYMENT W TOKU*  
*WSTĘP WZBRONIONY*  
*ZAKAZ WSTĘPU*



Otworzyła drzwi.

- Halo! - zawołała, przekrzykując Franka Sinatrę, który ryczał z zestawu stereo ustawionego w osobliwym miejscu pośrodku sali. - Muszę pomówić z kimś, kto tu rządzi.

Calvin, zaskoczony brzmieniem żywego głosu, wysunął głowę zza wielkiej wirówki.

- Przepraszam panią - krzyknął zirytowany, mrużąc oczy osłonięte wielkimi goglami przed czymś, co bulgotało właśnie po jego prawej, cokolwiek to było - ale tu nie wolno wchodzić. Nie widziała pani napisów?

- Ależ widziałam! - odkrzyknęła Elizabeth, ignorując ton jego głosu i przecinając laboratorium w celu wyłączenia muzyki. - Proszę bardzo. Teraz się słyszemy.

Calvin przygryzł wargi i machnął ręką.

- Nie może pani tu przebywać - powtórzył. - Napisy!

- Owszem, ale słyszałam, że w pańskiej pracowni wala się za dużo zlewek laboratoryjnych, a my na dole mamy ich za mało. Wszystko jest tutaj - dodała, podtykając mu pod nos jakąś kartkę. - Zatwierdzone przez kierownika zaopatrzenia.

- Nic mi na ten temat nie wiadomo - odparł Calvin, lustrując kartkę. - I przykro mi, ale nie. Potrzebna mi każda zlewka. Może lepiej porozmawiam z jakimś chemikiem z dołu. Pani powie swojemu szefowi, niech do mnie zadzwoni. - Wracając do przerwanej pracy, włączył z powrotem stereo.

Elizabeth ani drgnęła.

- Chce pan pomówić z chemikiem? Kimś innym niż JA? - wrzasnęła, przekrzykując Franka.

- Tak - odpowiedział Calvin z irytacją. Po chwili jednak dodał nieco łagodniej: - Proszę posłuchać, wiem, że to nie pani wina, ale nie powinni przysyłać do mnie sekretarki, żeby odwaliała za nich brudną robotę. A teraz przepraszam; zdaję sobie sprawę, że może trudno to pani zrozumieć, ale właśnie robię coś bardzo ważnego. Proszę. Niech pani po prostu powie szefowi, żeby zadzwonił.

Elizabeth zmrużyła oczy. Nie gustowała ani w ludziach, którzy wychodzili z założeń opartych na od dawna przestarzałych jej zdaniem wskazaniach wzrokowych, ani w mężczyznach uważających, że bycie sekretarką – choćby i nawet była sekretarką – oznacza brak zdolności do pojmowania słów wykraczających poza „Przepisz mi to w trzech egzemplarzach”.

– Co za zbieg okoliczności! – odrzyknęła, ruszając wprost do pobliskiego regału, z którego poczęstowała się dużym pudłem zlewek. – Ja też nie mam czasu. – I stanowczym krokiem opuściła pracownię.

W Instytucie Badawczym Hastings pracowało ponad trzy tysiące osób, dlatego wytropienie Elizabeth zajęło Calvinowi przeszło tydzień, a kiedy ją w końcu odnalazł, wyglądało na to, że go nie pamięta.

– Tak? – spytała, oglądając się, by sprawdzić, kto wszedł do jej pracowni; czy powiększały jej ogromne okulary ochronne, a ręce aż do łokci zakrywały wielkie gumowe rękawice.

– Dzień dobry – odpowiedział Calvin. – To ja.

– Ja? Można trochę konkretniej? – Odwróciła się z powrotem do swojej pracy.

– Ja – powtórzył Calvin. – Pięć pięter wyżej? Wzięła pani moje zlewki?

– Niech pan lepiej stanie za parawanem – odparła, wskazując w lewo ruchem głowy. – W zeszłym tygodniu zdarzył nam się tu mały wypadek.

– Ciężko panią namierzyć.

– Musi pan? – zapytała. – Teraz ja właśnie robię coś bardzo ważnego.

Czekał cierpliwie, aż młoda kobieta skończy pomiary, dokona zapisów w notatniku, przejrzy wyniki testów z dnia poprzedniego i pójdzie do toalety.

– Wciąż pan tu jest? – zapytała po powrocie. – Nie ma pan aby roboty?

- Mnóstwo.  
- Nie odzyska pan swoich zlewek.  
- Czyli jednak zapadłem pani w pamięć.  
- Owszem. Na własną niekorzyść.  
- Przyszedłem przeprosić.  
- Nie trzeba.  
- Może jakiś lunch?  
- Nie.  
- Kolacja?  
- Nie.  
- Kawa?  
- Słuchaj pan... – Elizabeth wsparła się pod boki, tak że wielkie rękawice zaakcentowały jej kości biodrowe. – Prawdę mówiąc, zaczyna mnie pan irytować.

Calvin z zażenowaniem odwrócił wzrok.

- Ogromnie przepraszam – powiedział. – Już sobie idę.

- To był Calvin Evans?! – zdumiał się laborant na widok Calvina, który lawirował ku wyjściu między piętnastką naukowców pracujących łokiec w łokiec na powierzchni jednej czwartej jego osobistej pracowni. – Co on tu robił?

- Trzeciorzędna kwestia przynależności zlewek – odparła Elizabeth.

- Zlewek? – Laborant zawahał się. – Zaraz. – Wziął do ręki jedno z nowych naczyń. – To wielkie pudło zlewek, które, jak powiedziałaś, znalazłaś w zeszłym tygodniu, należało do niego?!

- Nie mówiłam, że je znalazłam, tylko że je pozyskałam.

- Od Calvina Evansa? – zdumiał się jej kolega. – Zwariowałaś?

- Nie w sensie formalnym.

- Powiedział, że możesz je wziąć?

- Nie w sensie formalnym. Ale miałam druczek.

- Jaki druczek? Przecież wiesz, że to powinno przejść przez moje ręce. Wiesz, że zamówienia i zaopatrzenia to mój zakres obowiązków.

- Rozumiem. Ale odczekałam ponad kwartał. Pytałam cię cztery razy, wypełniłam pięć druczków zamówień, rozmawiałam o tym z doktorem Donattim. Naprawdę nie miałam pojęcia, co jeszcze zrobić. Te naczynia są mi niezbędne do badań. To tylko zlewki!

Laborant zamknął oczy.

- Posłuchaj - odezwał się, podnosząc wolno powieki, jakby chciał teatralnie zaakcentować jej głupotę. - Jestem tu o wiele dłużej od ciebie i niejedno słyszałem. Wiesz, z czego słynie Calvin Evans, prawda? Poza tym, że z chemii?

- Owszem. Z nadmiaru wyposażenia.

- Nie - odpowiedział laborant. - Ze swojej pamiętliwości. Nigdy nie zapomina uraz!

- Naprawdę? - zapytała z nagłym zainteresowaniem Elizabeth.

Elizabeth Zott również nie zapominała uraz. Tyle tylko, że jej pamiętliwość była przeważnie zarezerwowana dla patriarchalnego społeczeństwa ufundowanego na idei, że kobiety są jakieś mniej. Mniej zdolne. Mniej inteligentne. Mniej pomysłowe. Społeczeństwa wierzącego, że mężczyźni chodzą do pracy i robią to, co ważne - odkrywają planety, opracowują produkty, tworzą prawa - a kobiety zostają w domach i wychowują dzieci. Nie chciała mieć dzieci - tyle o sobie wiedziała - ale wiedziała też, że mnóstwo innych kobiet chce mieć zarówno dzieci, jak i karierę zawodową. I cóż było w tym złego? Nic. Chodziło przecież tylko o to, co mężczyźni już mają.

Czytała niedawno o jakimś kraju, w którym oboje rodzice zarówno pracowali, jak i uczestniczyli w wychowaniu dzieci. Gdzie to było? W Szwecji? Nie pamiętała. W każdym razie tam wszystko działało bardzo dobrze. Notowano wzrosty wydajności; rodziny się umacniały. Widziała się w takim społeczeństwie. Gdzieś, gdzie nie każdy z miejsca i z automatu bierze ją za sekretarkę, gdzie prezentując wyniki swoich badań na zebraniu, nie musi liczyć się

z tym, że mężczyźni będą jej wchodzić w słowo lub, co gorsza, przypiszą sobie zasługi za jej pracę. Pokręciła głową. W kwestiach równouprawnienia rok 1952 stanowił prawdziwe rozczarowanie.

- Musisz go przeprosić - nalegał laborant. - Odnieś mu te cholerne zlewki, najlepiej na klęczkach. Naraziłaś na szwank całą naszą pracownię, a mnie postawiłaś w złym świetle.

- Nic się nie stanie - odparła Elizabeth. - To zwykłe zlewki.

Mimo to następnego ranka zlewek nie było, pojawiły się za to kose spojrzenia kilku kolegów chemików, którzy także zdążyli uwierzyć, że wydała ich na pastwę legendarnej pamiętliwości Calvina Evansa. Próbowwała z nimi rozmawiać, ale każdy traktował ją oziębłe na swój własny sposób, a kiedy później mijała pokój socjalny, usłyszała przypadkiem tych samych kilku kolegów psiojących na jej temat - że jest przewrażliwiona na swoim punkcie, że uważa się za lepszą od nich wszystkich, że dała im wszystkim kosza, nawet tym nieżonatym. I oczywiście tytuł magistra z chemii organicznej na Uniwersytecie Kalifornijskim w Los Angeles zrobiła dzięki wiadomo czemu - tu pojawiały się wulgarne gesty i tłumiony śmiech. Za kogo ona w ogóle się uważa?

- Ktoś powinien utrzeć jej nosa - powiedział jeden.

- Nie jest wcale aż taka bystra - upierał się inny.

- To pizda - oświadczył znajomy głos. Głos jej szefa, Donatiego.

Elizabeth, przywykła do pierwszych słów, ale zszokowana tym ostatnim, przylgnęła do ściany, obezwładniona rosnącą falą mdłości. Po raz drugi w życiu usłyszała, jak ktoś określił ją tym słowem. Pierwszy raz - pierwszy potworny raz - miał miejsce na UCLA, Uniwersytecie Kalifornijskim.

To zdarzyło się prawie dwa lata wcześniej. Była magistrantką i na zaledwie dziesięć dni przed ukończeniem studiów nadal siedziała w pracowni o dziewiątej wieczorem, pewna, że odkryła problem z protokołem badań kontrolnych. Gdy zastanawiała się nad swoim

przecuciem, postukując w kartkę świeżo zaostrzonym ołówkiem HB, usłyszała, że drzwi się otwierają.

- Halo? - zawołała, podnosząc wzrok. Nie spodziewała się nikogo.

- Nadal tu jesteś - odezwał się głos, w którym nie było zaskoczenia. Należał do jej promotora, Meyersa.

- Ach. Dobry wieczór, panie doktorze. Tak. Sprawdzam tylko protokół badań kontrolnych na jutro. Chyba wykryłam pewien problem.

Mężczyzna otworzył drzwi trochę szerzej i wszedł do środka.

- Wcale cię o to nie prosiłem - powiedział tonem podszytym irytacją. - Mówiłem ci, że wszystko jest gotowe.

- Wiem - odparła. - Ale chciałam jeszcze raz na to spojrzeć. - Podejście pod hasłem „jeszcze raz na to spojrzeć” wcale się Elizabeth nie podobało, czuła się jednak do niego zmuszona, o ile chciała zachować stanowisko w, poza nią całkowicie męskoosobowym, zespole badawczym Meyersa. Nie żeby naprawdę obchodziły ją jego badania: były zachowawcze, bynajmniej nie przełomowe. Mimo godnego uwagi niedostatku kreatywności połączonego z zatrważającym brakiem nowych odkryć Meyers uważany był za jednego z czołowych badaczy DNA w Stanach Zjednoczonych.

Elizabeth nie lubiła Meyersa; nikt go nie lubił. Z wyjątkiem - być może - uczelni. Władze UCLA przepadały za nim, bo w tej dziedzinie nikt nie publikował więcej artykułów naukowych. Sekret Meyersa? To nie on pisał swoje artykuły - robili to jego magistranci. Ale to on zawsze przypisywał sobie pełne zasługi za każde słowo; zmieniawszy czasem jedynie tytuł i kilka wyrażen tu i ówdzie, udawał, że to zupełnie inny artykuł, co uchodziło mu na sucho, no bo kto czyta artykuły naukowe od deski do deski? Nikt. W ten sposób rosła liczba jego publikacji, a wraz z nią - jego reputacja. To dlatego Meyers stał się czołowym badaczem DNA: z przyczyn ilościowych.

Nie licząc talentu do produkowania niepotrzebnych artykułów, Meyers słynął także z tego, że jest zbereźnikiem. Na wydziałach nauk ścisłych UCLA nie było wiele kobiet, ale te nieliczne, które się tam znalazły – głównie sekretarki – stawały się przedmiotem jego dokuczliwego zainteresowania. Zazwyczaj odchodziły po pół roku z zachwianym poczuciem pewności siebie i zapuchniętymi oczami, z „powodów osobistych”. Elizabeth jednak nie odchodziła – nie mogła, potrzebowała tytułu magistra. Znosiła więc codzienne upokorzenia – dotknięcia, wulgarne komentarze, obleśne sugestie – równocześnie jasno wyrażając swój brak zainteresowania. Aż do dnia, w którym Meyers wezwał ją do gabinetu pod pozorem rozmowy o dopuszczeniu do swojego programu studiów doktoranckich, tyle że zamiast rozmawiać, wepchnął jej rękę pod spódnicę. Wściekła, wyrwała się i zagroziła, że zgłosi jego zachowanie.

– Komu? – roześmiał się wtedy. Upomniał ją, że „nie wie, co to frajda”, i klepinięciem w pośladek posłał ją po płaszcz z gabinetowej szafy, wiedząc, że po otwarciu drzwi odkryje jej wnętrze wytapetowane zdjęciami kobiet w toplesie, przy czym niektóre na czworakach, z twarzami bez wyrazu, uginają się pod triumfalnym męskim butem.

– Tutaj – powiedziała do doktora Meyersa. – Punkt dziewięćdziesiąt jeden na stronie dwieście trzydziestej drugiej. Temperatura. Jestem niemal pewna, że będzie za wysoka, więc enzym stanie się nieaktywny, co wypaczy wyniki.

Doktor Meyers obserwował ją ze swego miejsca przy drzwiach.

– Pokazywałaś to komuś jeszcze?

– Nie. Dopiero co to spostrzegłam.

– Czyli nie rozmawiałaś z Phillipem. – Phillip był głównym asystentem naukowym Meyersa.

– Nie – odparła. – Właśnie wyszedł. Na pewno udałoby mi się go dogonić...

- Nie trzeba - przerwał jej. - Jest tu ktoś jeszcze?
  - O ile wiem, nie.
  - Protokół jest w porządku - powiedział ostro. - Nie ty jesteś ekspertem. Przestań podważać mój autorytet. I nie wspominaj o tym nikomu innemu. Rozumiesz?
  - Chciałam tylko pomóc, panie doktorze.
- Spojrzał na nią, jakby oceniał jej stwierdzenie pod kątem zgodności z prawdą.
- I potrzebuję twojej pomocy - powiedział. Po czym obrócił się ku drzwiom i zamknął je na klucz.

Pierwszy cios zadał otwartą dłonią. Jej głowa okręciła się w lewo jak porządnie trafiona piłka na uwięzi. Z szoku aż ją zatkało, ale jakoś odzyskała równowagę, choć wargi jej krwawiły, a oczy otwały się szeroko z niedowierzania. Doktor skrzywił się, jakby niezadowolony z wyniku, i znów ją uderzył, tym razem strącając z taboretu. Meyers był dużym mężczyzną - ważył sto dziesięć kilo - choć jego siła wynikała nie z kondycji, a gęstości fizycznej. Schylił się po leżącą na podłodze dziewczynę, chwycił ją za biodra, unióśł w górę niby dźwig podnoszący luźny ładunek tarcicy i spuścił z powrotem na taboret jak szmacianą lalkę. Potem przewrócił ją na brzuch i odkopnąwszy taboret, rzucił ją na stalowy blat, wgniatając weń jej twarz i klatkę piersiową.

- Nie ruszaj się, pizdo - zażądał w reakcji na jej szamotanie, grubymi paluchami gmerając pod jej spódnicą.

Elizabeth znów zatkało, usta wypełnił jej smak metalu, a mężczyzna obmacywał ją, jedną ręką podciągając jej spódnicę powyżej pasa, drugą boleśnie naciągając jej skórę po wewnętrznej stronie ud. Z twarzą rozpląszczoną na blacie ledwo mogła oddychać, o krzyku nie było mowy. Wierzgała wściekle jak schwytane w siłdła zwierzę, ale jej odmowa i nieuznanie porażki tylko wzmagaly furię Meyersa.



- Nie walcz ze mną - ostrzegł, ociekając potem z brzucha na spodnią część jej ud. Ale gdy się poruszał, jej ręka odzyskała swobodę. - Ani mi się rusz - rozkazał, wściekły, kiedy wykręcała się w przód i w tył, wydając zdławione okrzyki, cała w szoku, rozplaszczona jak naleśnik pod jego potężnym i niezgrabnym ciałem.

Żeby jej przypomnieć, kto tu rządzi, złapał ją za włosy i szarpnął. A potem wepchnął się jej do środka jak niechlujny opój, jęcząc z satysfakcji, póki mu nie przerwał nagły ból i wrzask.

- Kurwa! - krzyknął Meyers, odrywając swoje cielsko od Elizabeth. - Jezu, kurwa mać! Co to było? - Odepchnął ją, zdezorientowany nagłą eksplozją bólu po prawej stronie ciała. Opuścił wzrok na swój tłusty tułów, usiłując pojąć źródło cierpienia, ale widział tylko małą różową gumkę ołówka wystającą mu z brzucha po prawej stronie nad biodrem. Gumkę otaczała wążiutka fosa krwi.

Ołówek HB. Elizabeth odnalazła go wolną ręką, chwyciła i wbiła napastnikowi w bok. Nie częściowo - w całości. Ostro zatemperowany grafit, miłą w dotyku żółtą obsadkę z drewna, błyszczący złoty pasek obwódki - całe osiemnaście centymetrów ołówka w osiemnaście centymetrów Meyersa. Tym sposobem zarówno przebiła jelita doktora - grube i cienkie - jak i pogrzebała perspektywy swojej kariery naukowej.

- Naprawdę tu pani studiuje? - zapytał ją posterunkowy ze straży kampusowej po tym, jak karetka z doktorem Meyersem odjechała. - Poproszę o jakąś legitymację studencką.

Elizabeth z ubraniem w strzępach, trzęsącymi się dłońmi i wielkim sińcem, który zaczął już kwitnąć na jej czole, obejrzała się na mężczyznę z niedowierzaniem.

- To uzasadnione pytanie - stwierdził policjant. - Co by robiła kobieta w laboratorium tak późno wieczorem?

- Jestem ma-magistrantką - wyjąkała z uczuciem, że za chwilę zwymiotuje. - Na chemii.

Policjant wypuścił teatralnie powietrze, jakby nie miał czasu na tego typu bzdury, a potem wyjął mały notes.

– Może opowie mi pani, co pani zdaniem zaszło.

Elizabeth podała mu szczegółowe informacje głosem otępiłym z szoku. Wyglądało, jakby strażnik notował, ale kiedy odwrócił się na chwilę powiedzieć innemu policjantowi, że wszystko ma pod kontrolą, zobaczyła, że w notesie jest czysto.

– Proszę pana. Ja... potrzebuję lekarza.

Szybkim ruchem ręki zamknął notes.

– Chce pani złożyć oświadczenie, że żałuje? – Tu obrzucił jej spódniczkę wzrokiem sugerującym, że już sam materiał stanowi oczywiste zaproszenie. – Zraniła pani tego pana. Lepiej dla pani będzie, jeśli okaże pani trochę skruchy.

Patrzyła na niego pustym wzrokiem.

– Pan... pan mnie nie rozumie. To on mnie napadł. Ja... ja się tylko broniłam. Potrzebuję pomocy lekarza.

Policjant ponownie wypuścił powietrze.

– Czyli wyrazów skruchy nie będzie? – podsumował, zamykając długopis pstryknięciem.

Wpatrywała się w niego z lekko otwartymi ustami, drżąc na całym ciele. Opuściła wzrok na swoje udo, na którym jasnym fioletem rysował się odcisk dłoni Meyersa. Z trudem powstrzymała odruch wymiotny.

Podniosła oczy w porę, by spostrzec, jak strażnik zerka na zegarek. Ten drobny gest wystarczył jej w zupełności. Wyciągnęła rękę i wyrwała mu spomiędzy palców swoją legitymację studencką.

– Owszem, proszę pana – odezwała się głosem napiętym jak drut więziennego ogrodzenia. – Po namyśle faktycznie czegoś żałuję.

– Od razu lepiej – skomentował strażnik. – W końcu się posuwamy. – Pstryknięciem wysunął długopis z obsadki. – Słucham panią.

– Ołówków – powiedziała.

– Ołówków – powtórzył, zapisując.

Uniosła głowę i spojrzała mu w oczy. Ze skroni sączył jej się strumyczek krwi.

- Żałuję, że nie miałam ich więcej.

Atak, czy też „niefortunne zdarzenie”, jak określił to komitet do spraw rekrutacji tuż przed formalnym cofnięciem jej przyjęcia na studia doktoranckie, nastąpił z jej winy. Doktor Meyers przyłapał ją na oszustwie. Usiłowała zmienić protokół badań kontrolnych w taki sposób, by wypaczyć wyniki eksperymentu – miał dowód czarno na białym – a kiedy oskarżył ją o to, rzuciła się na niego z propozycją seksu. Gdy to nie zadziałało, wywiązała się fizyczna walka i zanim się zorientował, skończył z ołówkiem w brzuchu. Miał szczęście, że przeżył.

Prawie nikt nie kupił tej historyjki. Doktor Meyers znany był ze swej reputacji. Ale był też ważniakiem, a władze UCLA nie miały najmniejszego zamiaru tracić kogoś jego formatu. Elizabeth była na wylocie. Studia magisterskie ukończyła. Sińce się jej zagoją. Ktoś napisze jej list polecający. Sió.

I tak trafiła do Instytutu Badawczego Hastings. Gdzie teraz tkwiła na korytarzu przed pokojem socjalnym, wciskając się plecami w ścianę, z okropnym uczuciem odrazy w żołądku.

Kiedy podniosła wzrok, okazało się, że przygląda jej się laborant od zamówień.

- Nic ci nie jest, Zott? – spytał. – Jakoś dziwnie wyglądasz.

Nie odpowiedziała.

- Mój błąd, Zott – przyznał. – Nie powinienem był robić takiej afery o te zlewki. A jeśli o nich chodzi – powiedział, wskazując ruchem głowy pokój socjalny, bo ewidentnie też dosłyszał tę samą rozmowę – to po prostu faceci. Nie zwracaj na nich uwagi.

Nie mogła jednak nie zwracać na nich uwagi. W gruncie rzeczy już nazajutrz jej szef, doktor Donatti – ten sam, który nazwał ją pizdą – przydzielił ją do nowego projektu.

- Będzie ci tam łatwiej - powiedział. - To bardziej pasuje do twojego poziomu intelektualnego.

- Dlaczego, panie doktorze? - zapytała. - Czy ma pan zastrzeżenia do mojej pracy? - Była motorem działań w swoim dotychczasowym grupowym projekcie badawczym i dzięki niej zespół był już bliski publikacji wyników. Ale Donatti pokazał jej drzwi. Następnego dnia zaczynała pracę przy mało istotnych badaniach nad aminokwasami.

Laborant od zlewek, widząc jej rosnące niezadowolenie, zapytał ją, po co w ogóle chce być naukowcem.

- Nie chcę być naukowcem - warknęła. - Jestem naukowcem! - W myślach zaś zarzekła się, że nie pozwoli, by jakiś grubas z UCLA, jej aktualny szef czy też nieliczni małostkowi koledzy z pracy uniemożliwili jej osiągnięcie życiowych celów. Mierzyła się już z różnymi ciężkimi próbami. Przetrzyma nadchodzące burze.

Burze jednak, nawet metaforyczne, nazywa się tak nie bez kozery; siekąc wiatrem i deszczem, powodują erozję. Z każdym miesiącem hart ducha Elizabeth poddawany był nieustająco kolejnym próbom. Jedyną rzeczą, która zapewniała jej jakiegokolwiek wytnienie, był teatr, a nawet i on czasem rozczarowywał.

Był sobotni wieczór w jakieś dwa tygodnie po incydencie ze zlewkami. Jakiś czas wcześniej kupiła bilet na *Mikado*, podobno śmieszoną operetkę. Choć od dłuższego czasu nie mogła się jej doczekać, to w miarę rozwoju fabuły zdała sobie sprawę, że przedstawienie wcale jej nie śmieszy. Słowa piosenek były rasistowskie, obsada - złożona wyłącznie z białych, nadto zaś rzucało się w oczy, że główna bohaterka zostanie obarczona winą za występki pozostałych postaci. Całość kojarzyła jej się z jej pracą. Postanowiła wycofać się w porę i wyjść podczas antraktu.

Traf chciał, że tego samego wieczora spektakl oglądał też Calvin Evans, i gdyby się na nim skupił, może podzieliłby wszystkie opinie Elizabeth. Był jednak na pierwszej randce z sekretarką

z zakładu biologii, a do tego ogarniały go nudności. Randka okazała się pomyłką – i to dosłowną: sekretarka zaprosiła go na operetkę tylko dlatego, że w parze z jego sławą wyobrażała sobie bogactwo, on zaś, reagując na jej wyciskające łzy z oczu perfumy, zamrugał kilkakrotnie, co ona wzięła za „Bardzo chętnie”.

Jego mdłości zaczęły się już w akcie pierwszym, a zanim skończył się akt drugi, osiągnęły praktycznie punkt wrzenia.

– Przepraszam – wyszeptał Calvin – ale nie czuję się dobrze. Wychodzę.

– Co ty mówisz? – zapytała podejrzliwie sekretarka. – Na moje oko nic ci nie jest.

– Mdli mnie – wymamrotał.

– No wybacz, ale kupiłam tę kieckę specjalnie na dzisiejszy wieczór – odparła – i nie wyjdę, dopóki nie ponoszę jej przez bite cztery godziny.

Ku jej zaskoczeniu Calvin podetknął jej mniej więcej pod nos pieniądze na taksówkę, a następnie pośpieszył do foyer; z ręką przyciśniętą do brzucha, starając się nie sprowokować swego wybuchowego jak nitrogliceryna żołądka, skierował się wprost do toalet.

Kolejnym ślepym trafem Elizabeth znalazła się w foyer w dokładnie tym samym momencie, i podobnie jak Calvin, zmierzała do toalety. Kiedy jednak zobaczyła długą kolejkę chętnych, sfrustrowana okręciła się na pięcie i wpadła wprost na Calvina, który bezzwłocznie na nią zwymiotował.

– O Boże – wyrwało mu się między torsjami. – O Jezu.

Elizabeth po początkowym osłupieniu pozbierała się z szoku i nie zwracając uwagi na ruinę swojej sukienki, w geście pocieszenia położyła dłoń na zgarbionej sylwetce.

– Ten pan się pochorował – zawołała w stronę kolejki do toalety, jeszcze nie rozpoznając poszkodowanego. – Czy ktoś może zadzwonić po lekarza?

Ale nie miał kto tego zrobić. Wszyscy z kolejki, spłoszeni odorem i odgłosami wymiotów, momentalnie ulotnili się z foyer.

- O mój Boże - powtarzał Calvin, trzymając się za brzuch - o mój Boże.

- Pójdę po papier - powiedziała łagodnie Elizabeth. - I po tak-sówkę. - A potem uważniej przyjrzała się jego twarzy i zagadnęła: - Zaraz, czy my się nie znamy?

Dwadzieścia minut później pomagała mu już wejść do jego domu.

- Możemy chyba wykluczyć aerozolową dyspersję difenylaminoarsyny - powiedziała. - W końcu nikt inny nie ucierpiał.

- Atak bronią chemiczną? - wykrztusił Calvin, przyciskając dłoń do brzucha. - No, ja myślę.

- Pewnie to po prostu coś w jedzeniu - uspokoiła go. - Zatrucie pokarmowe.

- Aha - wyjęczał. - Tak mi wstyd. Tak mi strasznie przykro. Ta sukienka. Zapłacę za czyszczenie.

- To nic - powiedziała. - Tylko mały bryzg. - Pomogła mu dojść do kanapy, na którą zwałił się jak wielka kłoda.

- Nie... nie pamiętam, kiedy ostatnio zdarzyło mi się wymiotować. A w miejscu publicznym to już w ogóle.

- Zdarza się.

- Byłem na randce - dodał. - Niewyobrażalne, prawda? Zosta-wiłem ją samą.

- Niewyobrażalne - zgodziła się, usiłując przypomnieć sobie, kiedy ostatnio w ogóle była na randce.

Milczeli przez kilka minut, a potem on zamknął oczy. Ona uznała to za sygnał do wyjścia.

- Jeszcze raz strasznie przepraszam - wyszeptał, słysząc jej kroki zmierzające ku drzwiom.

- Ależ nie ma za co przepraszać. To była zwykła reakcja, niezgodność chemiczna. Jesteśmy naukowcami. Rozumiemy te sprawy.

- Nie, nie - próbował doprecyzować słabym głosem. - Mówię o tym, jak wtedy założyłem, że jest pani sekretarką... jak kazałem

pani przekazać szefowi, żeby do mnie zadzwonił. Strasznie panią przepraszam.

Na te słowa nie znalazła odpowiedzi.

- Nigdy nikt nas sobie oficjalnie nie przedstawił - zauważył. - Jestem Calvin Evans.

- Elizabeth Zott - odpowiedziała, zbierając swoje rzeczy.

- No, Elizabeth Zott - powiedział, zdobywając się na wątlý uśmiech - uratowałaś mi życie.

Ale było oczywiste, że go nie usłyszała.

- Moje badania DNA skupiały się na kwasach polifosforowych jako czynnikach kondensujących - powiedziała Calvinowi w następnym tygodniu przy kawie w stołówce. - I słyły mi dobrze aż do teraz. W zeszłym miesiącu zmienili mi przydział. Na badania aminokwasów.

- Ale czemu?

- Donatti... zdaje się, że to także twój szef? Tak czy siak, uznał, że moja praca jest zbędna.

- Przecież badania czynników kondensujących są fundamentalne dla rozwoju naszej wiedzy o DNA...

- Tak, wiem, ja to wiem. Tym właśnie zamierzałam się zajmować w pracy doktoranckiej. Chociaż tak naprawdę interesuje mnie abiogeneza.

- Abiogeneza? Teoria, że życie powstało z uproszczonych form niezycia? Fascynujące. Ale nie jesteś doktorem.

- Nie.

- Przecież abiogeneza to obszar badań doktorskich.

- Obroniłam tytuł magistra chemii. Na UCLA.

- Środowisko akademickie... - Pokiwał głową ze współczuciem. - Zastała woda. Potrzebowałaś powietrza.

- Niezupełnie.

Nastąpiła dłuższa chwila krępującego milczenia.

- Posłuchaj - zaczęła od nowa, zaczerpnąwszy głęboko tchu - moja hipoteza na temat kwasów polifosforowych wygląda tak.

Kiedy się spostrzegła, okazało się, że rozmawia z nim od ponad godziny. Calvin potakiwał głową i notował, od czasu do czasu przerywając jej rozbudowanymi pytaniami, na które z marszu odpowiadała.

- Byłabym już dalej - mówiła - ale, jak już wspomniałam, zostałam „przesunięta na inny odcinek”. A jeszcze zanim to nastąpiło, okazało się, że załatwienie podstawowych pomocy naukowych niezbędnych do kontynuowania przeze mnie realnej pracy jest prawie niemożliwe. - To dlatego, wyjaśniła mu, zmuszona była podkraść wyposażenie i materiały z innych pracowni.

- Ale czemu tak ci ciężko szło zdobywanie tego wszystkiego? - zdziwił się Calvin. - W Hastings mają mnóstwo pieniędzy.

Elizabeth popatrzyła na niego, jakby właśnie zapytał, jakim cudem w Chinach głodują dzieci, skoro jest tam tyle pól ryżowych.

- Dyskryminacja płciowa - odpowiedziała. Wzięła do ręki ołówek HB, który zawsze nosiła wsunięty za ucho lub we włosy, i zaczęła stukać nim mocno o blat stolika. - Ale także polityka, kolesiostwo, brak równości oraz ogólna niesprawiedliwość.

Przygryzł wargi.

- Ale głównie dyskryminacja płciowa - powtórzyła.

- Jaka dyskryminacja? - zapytał niewinnie. - Dlaczego mielibyśmy nie chcieć kobiet w nauce? To zupełnie bez sensu. Potrzebujemy wszystkich naukowców, na jakich nas stać.

Elizabeth spojrzała na niego zaskoczona. Odnosiła dotąd wrażenie, że Calvin Evans to człowiek bystry, ale właśnie zrozumiała, że należy on do tych ludzi, których inteligencja ogranicza się być może do jednej wąskiej dziedziny. Przyjrzała mu się bardziej badawczo, jakby oceniając, co mogłoby do niego trafić. Zebrawszy włosy oburącz, zwinęła je w podwójny węzeł na czubku głowy i spięła ołówkiem.



- Kiedy studiowałaś w Cambridge – powiedziała ostrożnie, znów kładąc dłonie na stoliku – ile znałaś kobiet, które byłyby naukowcami?

- Żadnej. Ale mój uniwersytet był placówką z założenia wyłącznie męską.

- Aha, rozumiem. Ale z pewnością kobiety miały takie same możliwości w innych miejscach, zgadza się? No to ile znasz naukowców płci żeńskiej? Maria Curie się nie liczy.

Popatrzył na nią, wietrząc kłopoty.

- Problem, Calvinie – stwierdziła – polega na tym, że połowa populacji się marnuje. Nie chodzi tylko o to, że nie mogą dostać materiałów potrzebnych do wykonywania pracy, chodzi o to, że kobiety nie mogą zdobyć wykształcenia potrzebnego im do robienia tego, do czego są stworzone. I nawet jeśli zdarza im się pójść na studia, to nigdy nie w miejsce takie jak Cambridge. Co znaczy, że nie daje im się takich samych szans ani nie okazuje takiego samego szacunku. Zaczynają od samego dołu, ale tam zostają. Że już nawet nie wspomnę o zarobkach. I to wszystko dlatego, że nie uczęszczały na jakąś uczelnię, która nawet by ich nie przyjęła.

- Chcesz powiedzieć – zauważył powoli – że tak naprawdę więcej kobiet chce działać na polu nauki?

Otworzyła szeroko oczy.

- Oczywiście, że tak! Na polu nauki, medycyny, biznesu, muzyki, matematyki. Gdziekolwiek spojrzeć, wszędzie!

I nagle zawahała się, bo prawda była taka, że poznała dotąd zaledwie garstkę kobiet, które chciałyby zajmować się nauką, a w zasadzie jakąkolwiek dziedziną. Większość tych, z którymi znała się na studiach, utrzymywała, że znalazły się tam nie po to, by zdobyć przed nazwiskiem litery „mgr”, tylko „Mrs” – „pani”. Był to niepokojący objaw, jakby wszystkie napiły się czegoś, od czego stawały się na jakiś czas niepoczytalne.

- Tymczasem – podjęła temat – kobiety kisną w domach, rozdają dzieci i odkurzają dywany. To zalegalizowane niewolnictwo.

Nawet te kobiety, które chcą zajmować się domem, odkrywają, że ich praca spotyka się z kompletnym brakiem zrozumienia. Mężczyźni najwyraźniej myślą, że dla przeciętnej matki z pięciorgiem dzieci największym z codziennych dylematów jest to, na jaki kolor pomalować sobie paznokcie.

Calvin wyobraził sobie pięcioro dzieci i wzdrygnął się.

- Co do twojej pracy - powiedział, starając się zmienić kierunek tej bitwy - myślę, że uda mi się to załatwić.

- Nie chcę, żebyś cokolwiek załatwiał - odparła. - Doskonale umiem sama rozwiązać swój problem.

- Nic podobnego.

- Słucham?

- Nie możesz go rozwiązać, bo świat nie działa w ten sposób. Życie nie jest sprawiedliwe.

To ją rozjuszyło - że on ma czelność jej tłumaczyć, co nie jest sprawiedliwe. Nie miał o tym najmniejszego pojęcia. Zaczęła coś mówić, ale wszedł jej w słowo.

- Posłuchaj - powiedział. - Życie nigdy nie gra fair, a jednak ty wciąż działasz tak, jakby grało... jakby wystarczyło naprawić kilka krzywd czy naprostować nierówności, by wszystko inne ułożyło się jak należy. Tak się nie stanie. Poradzić ci coś? - I zanim zdążyła zaoponować, dodał: - Nie urabiaj systemu. Przechytrz go.

Siedziała w milczeniu, zastanawiając się nad jego słowami. Brzmiały irytująco sensownie i było to strasznie niesprawiedliwe.

- Popatrz, jaki szczęśliwy traf: sam próbuję już od roku zmienić spojrzenie na kwasy polifosforowe, ale w ogóle się nie posuwam do przodu. Twoje badania mogłyby to zmienić. Jeśli powiem Donattiemu, że do swojej pracy potrzebuję wniosków z twojej, wrócisz do niej choćby jutro. Nawet gdybym nie potrzebował twoich badań, a potrzebuję, to jestem ci to winien. Po pierwsze, za moje słowa o sekretarce, po drugie, za tamtego pawia.

Elizabeth nadal siedziała w milczeniu. Czuła, że wbrew zdrowemu rozsądkowi zaczyna przekonywać się do pomysłu. Wcale

tego nie chciała; nie podobał jej się pogląd, że systemy trzeba pokonywać inteligencją. Dlaczego nie mogłyby od początku być inteligentne? A już na pewno nie lubiła przysług. Ich wyświadczenie trąciło oszustwem. Ale przecież miała upatrzone cele, więc dlaczego, do cholery, miałyby tylko siedzieć beczynn timer z boku? Od siedzenia z boku jeszcze nikt nigdy donikąd nie zaszedł.

- Słuchaj - powiedziała z naciskiem, odgarniając kosmyk włosów z twarzy - nie pomyślisz sobie, mam nadzieję, że wyciągam pochopne wnioski, ale zdarzały mi się kłopoty w przeszłości, więc żeby była pełna jasność: nie będziemy ze sobą chodzić. To tylko praca, nic więcej. Nie interesuje mnie żaden związek.

- Ani mnie - zaprzeczył i on. - Chodzi tylko o pracę. Nic więcej.

- Nic więcej.

A potem wzięli swoje talerzyki z filiżankami i rozeszli się każde w swoją stronę, każde z desperacką nadzieją, że to drugie nie mówiło poważnie.